

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

KSIĘGA I.

D Y M.

4

— Może przy tem zimnie... — dorzuciłem pytająco.
— Był tam i trzeci kieliszek. Znaleźliśmy go w sąsiedniej garderóbce. Tamten nie był użyty. Tamten trzeci kieliszek musi mieć swoje znaczenie, tylko my nie wiemy jakie.

— Trzeci kieliszek — powtórzyłem tępo.
— I mała buteleczka likieru. Ale ten likier wydaje się czysty.

— Nie rozumiem, co to znaczy. — Nic innego powiedzieć nie mogłem.

Sprawa byłaby o wiele prostszą, gdyby nie te znaki na szyi. I pan także widział te znaki, przypuszczano?

— Tak... Ale kto to mógł zrobić? Co za łotr...

Zarumieniłem się, czując, że kłamię wobec wewnętrznego przekonania mego. Byłem tego świadomy, lecz nie krępowałem się tem. Chciałem chociażby kłamstwem wyciągnąć z duszy tego człowieka to, co on mógł wiedzieć, a choćby przypuszczać. Żeby się tylko zdradzić chciał...

— To był akt brutalnego gwałtu — dodałem. — Czy pan nie wie, doktorze Perry, kto był ten brutal, ten łotr?

— Trzy kieliszki tam były. Z dwóch tylko pito — odpowiedział spokojnie. — Jutro będę mógł odpowiedzieć na pańskie pytanie. Dzisiaj nie mogę.

W serce moje wstąpiła otucha. Twarz jego nie drgnęła nawet, gdy słowami memi wskazywałem na mężczyznę. Czy to urzędowe przyzwyczajenie do opanowywania wyrazu twarzy przyszło mu w pomoc, czy też istotnie policyja dotąd nie wysledziła związku pomiędzy zbrodnią a nią?

Czy jutro dowiedzą się czego więcej?

Sędzia wyszedł, ja zaś, rzuciwszy się w fotel mój przed kominkiem, napróżno powtarzałem wciąż to pytanie: czy też rano odkryje fakt, że młodzianka siostra Adeli była z nią w godzinę śmierci, czy też los oszczędzi ją i dalej, tak jak ją oszczędził w tem, że jedynym człowiekiem, który znał jej tajemnicę, był ten właśnie, któremu honor i wzgląd na nią nie pozwala jej rozgłaszać?

I tak upłynęły godziny od drugiej aż do siódmej; już nawet w końcu zapadłem w niespokojny sen, gdy mnie właśnie otworzenie drzwi obudziło.

Wszedł oficer policyjny ten sam, który przez całą noc chodził tam i z powrotem po korytarzu.

— Powóz zajechał — oznajmił. — Świadanie dostanie pan na stacyi.

Hexford zaś, patrząc mu przez ramię, dorzucił:

— Bardzo mi przykro, ale mamy rozkaz aresztować pana. Czy może mogę zrobić co dla pana?

— Rozkaz! — wybuchnąłem. — Jaki rozkaz? Czy to jako świadka chcecie mnie aresztować?

— Nie — odpowiedział. — Pada na pana zarzut morderstwa. Będzie pan musiał stanąć przed urzędnikiem sądowym. Bardzo mi przykro, że to ja zmuszony jestem oznajmić to panu, ale poszlaki są bardzo poważne, a policyja musi swój obowiązek spełnić.

— Ależ ja jestem niewinny, najzupełniej niewinny! — broniłem się, czując, że pot mnie oblewa, w miarę, jak przenikało mi do głowy pełne znaczenie tych słów. — To, co ja panom powiedziałem, to wszystko ścisła prawda. Ja ją znalazłem nieżywą...

Hexford znacząco spojrzał na mnie.

— Niech pan nic nie mówi — rzekł łagodnie. — Niech pan to lepiej zostawi prawnikom.

W momencie zaś, gdy tamten drugi zakręcił się po coś na chwilę, szepnął mi cicho do ucha:

— To się na nic nie przyda. Jeden z naszych ludzi widział, jak pan rękę trzymał na jej szyi. Wszedł na drzewo, na jedną ze sosen, a stora była podniesiona. Niech pan lepiej pójdzie z nami spokojnie. Nikt w pańską niewinność nie wierzy.

A więc to to potępiło mnie z samego początku; to i ten częściowo spalony list!

Zrozumiałem teraz, dlaczego sędzia, człowiek zanego serca, który ojca mego kochał, tak nalegał, bym mu sam wszystko powiedział; miał widać nadzieję, że wyjaśnię jakoś ten mój czyn i dam mu możność powątpiewania. A ja nie skorzystałem z tego! Jak strasznym musiał się wydać ten mój gest, bez zrozumiałej pobudki, którą tylko szczerem wyświadczeniem się wyjaśnić mogłem. A ja nie uczyniłem tego... zmilczałem, naturalnie... czy może zapomniałem? Sam nie wiem.

A przemilczenie to zgubiło mnie. Widziano, jak dotykałem palcami szyi mej narzeczonej i jakżeż ja teraz przekonam tych ludzi, że ona już nie żyła wtedy, gdy ją dotknęła moja ręka? Że nie żyła, uduszona przez kogo innego?

Jedna jedyna tylko osoba na całym świecie będzie wiedziała, że padłem ofiarą fałszywego oskarżenia. Wczoraj jeszcze wiara jej w moją niewinność promieniem światła rozświecałaby mi najgłębszy mrok hańby i poniżenia. Ale dziś?

Nie mogłem myśleć o niej. Nie miałem serca zastanawiać się nad jej niedolą, nad stanem uczuć jej po tym gwałtownym czynie.

Bo niewątpliwie to był taki czyn gwałtowny — wynik takiego jej szalonego uniesienia. Mówiono mi o tych jej niepojętych uniesieniach namietnego gniewu. Raz nawet widziałem ją w takim napadzie. Gdy napad taki mijał, bywała znów sobą — tą dobrą, miłą, łagodną — pokorną tylko i pełną skruchy...

Jeżeli to, co przypuszczałem, prawdą jest, jakżeż ona strasznie cierpieć teraz musi!

Lecz nie pora myśleć o tem. Zastanawiałem się tylko, jak ją uchronić od odpowiedzialności za zbrodnię. Już sam wolałbym ponieść tę odpowiedzialność, niż wiedzieć, że ona spada na istotę tak młodą, tak piękną i tak szlachetną, mimo wszystko.

Zwracając się do Hexforda, stawilem mu pytanie, które paliło mnie od kilku godzin:

— Niech mi pan powie, jakim sposobem dowiedzieliście się o tem, że się tu coś stało? Co was tu sprowadziło? Chyba może mi pan powiedzieć...

— No, jeżeli pan tego nie wie... — zaczął.

— Nie wiem — wpadłem mu w słowo.

— To niech pan lepiej poczeka, aż szef ponówi z panem.

Staralem się ukryć mój zawód. I znowu niepokojne myśli moje pobiegły do Karmeli. Gdy jednak w drodze ku schodom Hexford przybliżył się do mnie, zebrałem się na odwagę i zapytałem:

— Czy ma pan jakie wiadomości z domu Na Wzgórzu? Czy udzielono wiadomości o tem nie-szczęściu rodzinie miss Cumberland, a jeżeli tak, jakżeż oni znieśli ten cios?

Zacisnął usta i wahał się przez chwilę; widocznie jednak złagodziło go coś w moim wyglądzie, czy też w szczerości mojego spojrzenia, gdyż odpowiedział szczerze, chociaż chłodno:

— Daliśmy tam znać, naturalnie, ale jak dotąd, tylko służba jest pod wrażeniem tej wieści. Młodsza miss Cumberland jest bardzo chora, a młodzieniec — nie wiem, jak mu na imię, nie pokazał się jeszcze od wczorajszego wieczora. To podobno bardzo lekkie życie prowadzący chłopak i przypuszczają, że zasiedział się może w jakiejś knajpie na przedmieściu.

Zachwiałem się, musiałem się poręczyć chwycić.

— Miss Karmela Cumberland chora? — wyjąkałem — tak chora, że jej nawet nie było można powiedzieć?

— Tak — odpowiedział pocziwie, sprowadzając mnie z tych schodów, po których ona kilka godzin temu, tak strasznie zmieniona, schodziła. — Służąca, która późno wracała do domu, usłyszała, przechodząc obok drzwi pokoju miss Cumberland, upadek czegoś ciężkiego i wpadłszy, znalazła miss Karmelę, leżącą na podłodze przy kominku, na którym ogień się palił. Padając, uderzyła twarzą o gzems kominka i poparzyła się mocno. Ale nie dosyć na tem; majaczyła nieprzytomnie w gorączce; przypuszczają, że rozchorowała się z niepokojem o siostrę, której imię wciąż wspomina. Spro-wadzili do niej doktora i cały dom był na nogach, zanim jeszcze doszła wiadomość, co się tutaj stało.

Podziękowałem mu spojrzeniem. Nie miałem czasu nic powiedzieć, gdyż przed domem czekało już kilka policyantów, za chwilę zaś wsadzono mnie do krytych sań i uwieziono z tego śmiercią nawiedzonego miejsca.

Na długie, długie dni po raz ostatni usłyszałem szum tych sosen. W snach jednakże słyszałem je odtąd co noc... Pospępnie, złowroźnie szumiały mi one o zagastych nadziejach moich i ciężkiej groźbie przyszłości.

VII.

GIFTON PRZYJMUJE MOJĄ OBRONĘ.

Pierwszą moją myślą, gdym mógł zebrać myśli, było:

— A więc nie jest ona pozbawiona serca! Przerazenie i wyrzuty sumienia zmąciły jej umysł. Mogę myśleć o niej z litością.

W ślad zaś za tem pomyślałem:

— Czy też zauważa, że odzież jej przemokła i czy odkryją, że wychodziła wczoraj z wieczora?

W miarę, jak dzień upływał, a ja zrozumiiałem, że ja, Elwood Ranelagh, nieco lekkomyślny światowiec, ale syn szanownej rodziny, przyjaciel zacnych i godnych ludzi, jestem oto uwięziony pod strasznym zarzutem morderstwa — uczulem równocześnie, że najdotkliwiej to mnie dręczy, że przez to nie mogę bezpośrednio i natychmiastowo otrzymywać wieści o tem, co się dzieje z nią.

Strasznie to było wiedzieć, że Karmela chora i nic więcej ponad to. Straszne to było wiedzieć, że nad jej głową zawisło ramię sprawiedliwości, ale nie mógł go odwrócić. Wiedzieć, że drobna niewaga z jej strony, jakiś przedmiot, szept jakiś, albo wybuch nieopanowanego uniesienia mógł przyspieszyć jej zgubę — a ja tutaj bezsilny i sam haniebnym zarzutem obciążony!

Pocieszałem się tem, że w badaniu sędziego nie zauważyłem ani śladu zwracającego się ku niej podejrzenia. Nie uspokoiłem się jednak, gdyż mi później powiedziano, w jaki sposób dowiedziela się policyja, że stało się coś złego w domu klubowym. Rozpaczliwe wezwanie doszło do nich przez telefon, krzyk zdławionego i drżącego kobiecego głosu: „Ratunku! ratunku! przybawajcie do domu pod Szumiącymi Sosnami!“

To mi niejedno wyjaśniło. Starali się dojść, czy ja w tym czasie byłem obecny w domu klubowym; przypuszczali oczywiście, że Adeli, przewidującej zamach z mej strony, udało się dotrzeć do telefonu i wysłać to rozpaczliwe wezwanie.

Co ja jednakże mogłem o tem sądzić? Jaki stąd wniosek wysnuwać? Wszelkie okoliczności tej śmiertelnej walki przed ostatecznym morderczym aktem były dla mnie tajemnicą. I nie śmiałem się nawet zastanawiać nad tem. Dręczyłem się w srogiej niepewności przez długi wieczór i noc bezsenność, wreszcie postanowiłem zarzucić domysły i oczekiwać, co dzień następny przyniesie. Może wyjaśnienie?

To też z lękiem i oczekiwaniem otworzyłem gazetę, gdy mi ją nazajutrz rano przyniesiono. Nie będę mówił o wstrząsającym wrażeniu, jakie odcisnęło, widząc nazwisko swoje, związane z podejrzeniem o ohydny zbrodnię... znalazłem jednak na szpaltach pisma i trochę ważnych dla mnie wiadomości. Pisano tam, że Artur, ten brat nie dobrego, wrócił z hulaszczkiej swojej wycieczki i ujął w ręce sprawę dość rozsądnie; widać było po nim żal za własne uchybienie i za ten pociąg do trunków, który go tej nocy z domu wydalili. Karmela wciąż jeszcze leżała chora i zanosilo się u niej na dłuższą chorobę. Lekarze orzekli, że to było niebezpieczne zapalenie mózgu. Doktorzy i pielęgniarki krzątali się około niej, ale nie należało się spodziewać, by wkrótce mogła powiedzieć, co wie o okolicznościach, w jakich siostra jej owej fatalnej nocy dom opuściła. Że świadectwo jej na tym punkcie byłoby nieocenionem, to pewna — były bowiem liczne na to dowody, że zachodziła do pokoju siostry nocą, już niewiadomo, przytomna, czy też nieprzytomna. Sama jedna była w domu i to może zwiększyło jej lęki, cała służba bowiem poszła na bal policyantów. Służba, wróciwszy nad ranem, znalazła ją w pokoju siostry. Chora i oparzona leżała na podłodze, w pobliżu kominka.

Zastanowił mnie pewien fakt, który tam wzmiankowano. Znalezione klucze od domu klubowego na stole, w bocznej sieni domu Cumberlandów — te klucze, których jak wspominałem, nie miałem w kieszeni. Przestraszyło mnie to odkrycie, gdyż mogłoby się stać dla Karmeli obciążającą poszlaką — objaśniła je jednak pokojowa, która stoł po obiedzie sprzątała. Pokojówka zeznała, że znalazłszy te klucze na podłodze, obok jednego z krzesel, zaniósła je do sieni i położyła na widocznym miejscu. Nie poznała tych kluczy, ale była przekonana, że należą do pana Ranelagh, który tego wieczora był na obiedzie.

Tak, to były moje klucze i już opowiedziałem, w jakich okolicznościach wypadły mi z ręki. Adela czy też Karmela — musiała je zauważyć i w niezrozumiałym dotąd celu, pod wpływem tragicznego impulsu obrała ten odludny zakątek, gdzie ja je obie następnie znalazłem — jedną nieżywą, drugą uciekającą w najwyższym wzburzeniu... A jednak nie opuściła jej przytomność... nie zapomniała o kluczach, ani o zamknięciu drzwi... Że, wróciwszy do domu, miała dość przytomności, by położyć klucze tam, skąd je siostra, czy też ona sama wzięła, świadczyło to w każdym razie, że aż do owej chwili jasność umysłu jej nie opuściła. Gorączka i maligna musiała przyjść później.

Następna wiadomość zaskoczyła mnie i zadziwiła wielce.

Zadok Brown, stangret Cumberlandów, zeznał,